

O. *Stefan M. Norkowski OP*
Wrocław

Moje wspomnienie o ojcu Bocheńskim

Tak się złożyło, że miałem okazję mieszkać w jednym klasztorze z o. Józefem M. Bocheńskim mniej więcej przez ostatnie trzy i pół roku jego życia. Był to oczywiście w klasztorze we Fryburgu szwajcarskim, z którym słynny dominikanin, logik i filozof był szczególnie związany. Życie pod jednym dachem właśnie z nim stało się okazją do wielu ciekawych rozmów i spotkań. Dzięki temu miałem możliwość poznać o. Bocheńskiego jako człowieka, Polaka, myśliciela i współbrata.

O. Bocheński, nawet będąc już człowiekiem niemłodym i schorowanym starał się przeżywać każdy dzień jak najbardziej świadomie. Były oczywiście momenty, gdy jego świadomość mogła być nieco zmieniona ze względu na choroby, które przechodził. Kiedy tylko wracał do sił, starał się żyć aktywnie, a nawet cieszyć się życiem w myśl hasła, które proponował powtarzać sobie samemu na dzień dobry: byczo jest! W praktyce oznaczało to branie udziału w normalnym rytmie modlitwy i życia klasztoru oraz ciągły wysiłek intelektualny, rozumiany jako czytanie nowych książek, przeglądanie wielu nadsyłanych mu prac, pisanie oraz spotkania, jak np. seminarium polskie – *Sempol* czy wywiady, które sprowadzały do niego ludzi mediów z wielu krajów. Proporcje jednego i drugiego, to znaczy życia intelektualnego i modlitwy mogły zmieniać się w czasie, ale nigdy nie był to czas zmarnowany. O. Bocheński cały czas intensywnie myślał i prowokował innych do myślenia. Modlitwa, zwłaszcza brewiarzowa była dla niego rodzajem odpoczynku czy też wytchnienia po wielu godzinach poświęconych czytaniu i pisaniu. Wspólne posiłki w klasztornej refektarzu i spotkania w tzw. salce rekreacyjnej były często okazją nie tylko do dzielenia się wspomnieniami, które mogły sięgać daleko wstecz, ale także do prowadzenia prawdziwych dysput filozoficznych, oczywiście na miarę możliwości ich uczestników oraz ograniczonych ram czasowych. Często się zdarzało, że o. Józef zaskakiwał rozmówców

zadając im małe zadania logiczne do wykonania. Pozornie proste pytanie, jak przykładowo: „Jeśli jest na obiad ryba, to jest też ser, ale jeśli ryby nie ma, to czy możemy jeszcze spodziewać się sera?”, potrafiło zdruzgotać niejednego studenta, który w zdenerwowaniu nie mógł już skończyć normalnie posiłku. Legendą obrosły egzaminy przeprowadzane w czasie jazdy samochodem, które miały się niekiedy kończyć pozostawieniem egzaminowanego delikwenta, gdzieś poza miastem, do czego jednak sam profesor niechętnie się przyznawał. Jako zapalony kierowca i pilot dostarczał przed laty swoim pasażerom wielu niezapomnianych wrażeń, gdy np. zapytywał kogoś, kto po raz pierwszy w życiu był w samolocie i w ogóle nie znał okolicy, aby szukał odpowiedniego miejsca do lądowania. Spotkania w gronie współpracowników stawały się często również okazją do wspominania bardzo dawnych dziejów, do których zaliczał się jego udział w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 r., którą przeżywał jak powtórkę na żywo historii wziętych z sienkiewiczowskiej Trylogii. Tutaj dotykamy już nowego zagadnienia, który wiąże się z osobą o. Bocheńskiego jako Polaka.

Dla o. Józefa sprawa niepodległości Polski łączyła się nierozdzielnie z pragnieniem osobistego cieszenia się wolnością jako darem Boga, przejawem cywilizacji europejskiej i zadaniem do wykonania w kategoriach zarówno narodowych, jak i ponadnarodowych. Duma z odzyskania wolności po I Wojnie Światowej i troska o jej zachowanie była zresztą jednym z motywów jego wstąpienia do seminarium duchownego w Poznaniu. Państwo polskie lat 20. XX w. zdawało się być relatywnie słabe i bardzo potrzebujące wsparcia Kościoła, jako jedynej ważnej instytucji o charakterze międzynarodowym, mającej silne ugruntowanie w społeczeństwie. Obawy dotyczące możliwości istnienia niepodległego państwa Polskiego okazały się na tyle uzasadnione, że w 1939 r. o. Bocheński, wówczas już jako dominikanin i docent filozofii zdecydował się zostać kapelanem armii polskiej, której wiernie towarzyszył do samego końca kampanii wrześniowej a potem w jej walkach we Francji, w czasie pobytu w Wielkiej Brytanii i walk we Włoszech, włącznie z bitwą pod Monte Cassino. Wszystko to wydaje się być dalekie od realizowania powołania filozofa, a jednak właśnie ten heroiczno-patriotyczny wątek biografii o. Bocheńskiego szczególnie frapował wielu ludzi nauki, m.in. znanego filozofa analitycznego P. Simondsa. Wolność, o którą z takim poświęceniem walczył dla Polski dała mu po wojnie raczej drugą Ojczyznę, Szwajcarię, a w szczególności Fryburg i pracę na uniwersytecie. Do Polski, za którą stale bardzo tęsknił mógł pojechać dopiero pod koniec lat 80. XX w., co zaowocowało m.in. wykładami otwartymi na Uniwersytecie Jagiellońskim i w klasztorze dominikanów. Późniejsze, zwykle krótkie wizyty w Polsce były dla niego powodem zarówno radości, jak i troski o losy kraju, który z wielkim trudem wychodził z okowów komunizmu. Zawsze śledził sytuację w Polsce i czekał na powrót lepszych czasów.

Bardzo istotną częścią życia o. Bocheńskiego stanowiła praca naukowa i dydaktyczna, ze szczególnym akcentem położonym na logice, filozofii i jej historii oraz metodologii nauk. Filozofię umieszczał zawsze w kontekście szeroko

rozumianego wysiłku umysłowego całej rzeszy ludzi, których zafascynowało poszukiwanie prawdy. Na czele tego wielkiego pochodu widział wielkich myślicieli starożytności, jak Platon i Arystoteles, następnie tych, którzy twórczo kontynuowali ich myśl, jak św. Tomasza z Akwinu, później wielkich logików i filozofów, zwłaszcza analitycznych, jak Russell i Whitehead, a na końcu wielu naukowców wszelkiej maści, których żmudna praca poszerza i stale doskonali naszą wiedzę. Z wieloma takimi ludźmi miał o. Bocheński stale bardzo ożywione kontakty. Wśród tych osób tylko część można by uznać za osoby wierzące w znaczeniu klasycznym. To, co ich łączyło, to było raczej pewne zainteresowanie prawdą odkrywaną przez nich w wielu różnych dziedzinach i definiowanej na wiele różnych sposobów, z których najbardziej cenił metafizyczną definicję prawdy Tarskiego. Mówił o paradoksie naszych czasów polegającym na tym, że obecnie to właśnie wśród naukowców pracujących w takich dziedzinach, jak np. fizyka i to nawet w tak renomowanych instytucjach, jak CERN, z którym miał kontakt, daje się zauważyć pewien kryzys wiary w sensowność uprawiania nauki, która wydaje się kręcić w miejscu i nie dawać nadziei na szybkie rozwiązanie problemów dotyczących samych podstaw istnienia dostępnej nam rzeczywistości. Uważał, że właśnie ich trzeba teraz wspierać w ich wysiłkach, dodawać im odwagi i stale budzić wiarę, że ich wysiłek zbliża ludzkość do prawdy. Dla wierzących może być to również rozumiane jako ich droga do Boga, zaś dla pozostałych może dopiero jakimś jej początkiem.

O. Bocheński żył do końca nadzieją na ciągle nowe odkrycia naukowe w wielu dziedzinach, które, choć tak bardzo się od siebie oddalają przez postępującą specjalizację, to jednak stale potrzebują wzajemnego wsparcia i wymiany idei. XX wiek widział jako czas częściowo jałowych sporów w obrębie dwóch zasadniczych paradygmatów, a mianowicie średniowiecznego, głównie w sensie realizmu w metafizyce czy teorii poznania uprawianych bez wykorzystania narzędzi, jakimi są choćby współczesna logika i analizy językowe oraz w zbytniej izolacji od wyników i nauk szczegółowych i oświeceniowego, który akcentując rolę rozumu doszedł do głębokiego sceptycyzmu. Choć jako filozof-analityk wystrzegał się tworzenia wielkich syntetycznych wizji rzeczywistości, to jednak ceniał dorobek Whiteheada, którego uznawał za ostatniego koryfeusza filozofii syntetycznej. Whitehead stworzył własną oryginalną metafizykę, której pojęcia wyprowadził z pojęcia pola używanego w fizyce. Bocheński nie czuł się powołany do tworzenia podobnych syntez, ale uważał, że będą one wtedy możliwe, gdy przedstawiciele różnych gałęzi wiedzy będą się ze sobą komunikowali na poziomie problemów podstawowych, oglądanych z różnych stron przez różnych współpracujących ze sobą myślicieli. Wiązało się to z jego wizją uniwersytetu przyszłości, który miałby mieć w swym założeniu pewną rdzeniową strukturę umożliwiającą tego typu interdyscyplinarne studia i działania. Taką wizję rozwoju myśli, kultury i przyszłych uczelni europejskich, podaną przeze mnie w bardzo ogólnym zarysie przedstawił o. Józef podczas swego ostatniego otwartego wykładu w Insbrucku, w wypełnionej po brzegi auli uniwersyteckiej.

Pod koniec życia, a zwłaszcza w okresie następującym po ciężkim zapaleniu płuc, które tylko cudem przeżył o. Józef znacznie więcej czasu poświęcał modlitwie. Różaniec stale miał gdzieś na podorędziu i robił z niego częsty użytek. Nie przeszkadzało mu to wcale snuć refleksji na temat teologii mistyki i jej związków z jego własną analizą zjawiska, jakim jest istnienie religii wyłożonej m.in. w książce pt. *Logika religii*. We wspomnianej pracy wiele jest mowy na temat modelu uprawiania teologii, który może być dedukcyjny lub redukcyjny oraz na temat tzw. hipotezy religijnej, która miałaby poprzedzać akt przyjęcia wiary. Każdy wierny katolik miałby czynić pewne metalogiczne założenie, zwane dogmatem podstawowym lub metadogmatem, że cokolwiek Bóg objawił, a Kościół podaje do wierzenia, jest prawdziwe. Decyzja przyjęcia wiary oznaczałaby przyjęcie z jednej strony właśnie takiego metadogmatu, co dawałoby gwarancję jej pewności i prawdziwości. Z drugiej strony w procesie dochodzenia do wiary widział jak ważny jest element psychologiczny, bardziej subiektywny, który wiąże się z przyjęciem tzw. hipotezy religijnej. Każdy wierny przed dokonaniem aktu wiary konstruuje sobie jakby własny dogmat podstawowy religii, który pomaga mu w wyjaśnieniu i uporządkowaniu podanych przez Kościół prawd wiary oraz własnych przemyśleń i doświadczeń religijnych, jeśli takie posiada. W tym znaczeniu ów dogmat podstawowy przyjmuje formę hipotezy religijnej rozumianej jako stopień w dochodzeniu do wiary. Sama hipoteza religijna miałaby przedmiotowo tę samą treść, co akt wiary, ale psychologicznie nie byłaby z nim tożsama. Pozostaje jednak stale pytanie, co miałoby ostatecznie skłaniać człowieka jeszcze nieprzekonanego, choć mającego już w użyciu coś na kształt hipotezy religijnej do przyjęcia całości treści wiary i uczynienia jej swoją własnością, czy też częścią własnej duchowej tożsamości? Według Bocheńskiego, rolę decydującą odgrywa tu z jednej strony doświadczenie religijne, zaś z drugiej wnioskowanie zarówno według schematu dedukcyjnego, jak i redukcyjnego. Bezpośrednie doświadczenie Boga, choć w rzeczywistości zawsze jakoś nawet bardzo subtelnie zapośredniczone, to jednak, według autora *Logiki religii* rzadki wypadek dotyczący wielkich świętych, jak św. Katarzyna ze Sieny, Teresa z Avila, czy św. Jan od Krzyża. Doświadczenie świętości obecnej w świecie, też nie jest częste.

Klasyczne, dedukcyjne wnioskowanie, jako uzasadnienie przyjęcia wiary w Boga okazuje się logicznie słabe. Zakład Pascala jest również nie do przyjęcia, gdyż wiara nie jest sprawą kalkulacji, lecz zaangażowania i ofiary. Jeśli okazałaby się pomyłką, to można na niej również stracić. Pozostaje dedukcja oparta na autorytecie. Słynny dominikański kaznodzieja, Savanarola nawrócił całe mnóstwo ludzi włącznie z czołowym myślicielem swej epoki, jakim był Pico della Mirandola. Olbrzymia liczba wykształconych Hindusów przeszła pod wpływem Ciankary od ateistycznego buddyzmu do wiary w Boga. Autorytet wybitnych osób jest więc drogą uzasadnienia przyjęcia wiary. Ale jak dokładnie to się dzieje? Czy rzeczywiście hipoteza religijna i przyjęcie dogmatu podstawowego jest zwykłą drogą nawracającego się człowieka? Czy nie jest to za bardzo skomplikowane?

Niewątpliwie hipoteza religijna pomaga wykształconemu człowiekowi uzasadnić przyjęcie wiary. Świadczyć o tym może również fakt, że pojęcie hipotezy religijnej, przy wszystkich trudnościach związanych z jej użyciem jest jednak użyteczne z tego powodu, że ludzie tracą często wiarę z powodu faktów jej przeczących, co odpowiada w przybliżeniu falsyfikacji hipotezy naukowej. Późniejsze przemyślenia powstałe dosłownie w ostatnich latach i miesiącach życia o. Józefa coraz bardziej odchodzą od schematu hipotezy religijnej ku czemuś prostszemu, co jednak bardziej odpowiada rzeczywistemu sposobowi, w jaki wielu zwykłych ludzi dochodzi do przyjęcia wiary.

Wytlumaczenie sposobu nawracania się człowieka, który od ateizmu lub radykalnego sceptycyzmu przechodzi do wiary w Boga nie dokonuje się zwykle przez przyjęcie rozbudowanego systemu wierzeń, ich uzasadnień i dowodzeń. Początkiem jest przyjęcie jakiegoś prostego przekonania, wyrażonego w np. zdaniu, że Bóg istnieje. Poznanie prawd najważniejszych, a jednocześnie stosunkowo łatwych do zrozumienia, a nie wielkich i skomplikowanych systemów teologicznych decyduje zatem o tym, czy ktoś czyni jakiś krok na drodze do przyjęcia wiary, czy ją odrzuca. Owe prawdy najważniejsze, które wyrażane są w zdaniach podobnych do zdań wypowiedzianych w modlitwie *Ojcze nasz* składają się razem na pewien stosunkowo niewielki zbiór przekonań, który Bocheński nazywa wiarą podstawową. Jest ona podobna do światopoglądu w pierwotnym Diltheyowskim znaczeniu i wprowadzona jako pojęcie przeciwstawne wobec pojęcia systemu rozumianego jako rozbudowany zespół twierdzeń spotykany w wyznaniach wiary wielu religii wraz z opowieściami pełniących rolę tła wobec głównej linii nauki wiary. W naszej religii zawiera on zarówno najważniejsze, dogmatycznie opracowane elementy przekazu biblijnego, jak i pewne inne elementy, które stanowią tło potrzebne do jego zaistnienia. Jest ono związane z kulturą w której dany przekaz funkcjonuje i może zawierać różne opowiadania, które nie muszą mieć wprost ani wartości historycznej, ani nawet dogmatycznej. Tak np. opowiadanie o proroku Jonaszu i wielkiej rybie, która go połknęła, gdy bał się pójść do Niniwy z orędziem wzywającym do nawrócenia zawiera jedynie pewne pouczenie zachęcające do pełnienia zawsze woli Bożej, nawet jeśli jest to trudne. Bocheński nie określił dokładnie zakresu obu wymienionych przeciwstawnych pojęć: wiary podstawowej i systemu. Oba są ufundowane na tym samym *credo* danej religii, ale nie są ostro rozdzielone. Trudno zatem powiedzieć, które dogmaty naszej wiary byłyby zaliczone do wiary podstawowej, a które do systemu. Być może nie jest to możliwe do określenia. Nie to jest jednak najważniejsze. Najważniejsza jest obserwacja, że nawrócenie człowieka dokonuje się zasadniczo w dwóch etapach. Najpierw następuje przyjęcie wiary podstawowej. Dzieje się to zasadniczo, przynajmniej na początku bez większego intelektualnego uzasadnienia. Nie jest to konieczne przyjęcie hipotezy religijnej. Człowiek może się zachwycić jakąś prawdą wiary, przeczuć, że za nią kryje się realna, intuicyjnie poznawalna lub jakoś przez niego doświadczana rzeczywistość, którą można nazwać Bogiem, jego miłością i dobro-

cią. Dopiero potem może nastąpić przyjęcie całego systemu, który w każdej religii jest konstrukcją dość skomplikowaną. Proces ten angażuje całego człowieka, jego umysł i wolę. W okresie pisania rozważań na temat wiary obiektywnej i hipotezy religijnej Bocheński akcentował raczej rolę intelektualnych dociekań człowieka poszukującego odpowiedzi na pytania dotyczące rzeczy ostatecznych. Jest to typowa postawa myśliciela. Później podkreślał wagę przyjęcia wiary podstawowej na pierwszym etapie dochodzenia do jej wyznania, co zrazu nie wymaga złożonej pracy intelektualnej, zaś angażuje bardziej intuicję, emocje i wyobraźnię nawracającego się człowieka. W ten sposób jego wola otwiera się na działanie czynników przekraczających naturalne możliwości człowieka, co chrześcijanie nazywają łaską. W ten sposób o. Bocheński przeszedł drogę od filozoficznych, dość skomplikowanych analiz do uchwycenia samej istoty procesu stawania się człowiekiem wierzącym. W długim życiu o. Bocheńskiego było wiele różnych etapów, wiele dziedzin i tematów badawczych, z których przedstawione powyżej są jedynie moim świadectwem tego, czym żył i nad czym zastanawiał się pod koniec swojej ziemskiej drogi. Widzimy, że tematem pierwszorzędym stała się dla niego wiara, religia i ich przekaz. To są bardzo dominikańskie tematy, które ze strony o. Józefa Bocheńskiego świadczą o jego wiernym trwaniu w realizacji swego powołania.

Stefan M. Norkowski OP

My Recollection of Father Joseph M. Bocheński

Abstract

My memories of Father Joseph M. Bocheński, the great Pole, philosopher, logician and Dominican, mostly concern the last three years of his life spent in a Dominican priory in Fribourg, Switzerland. The daily life of Father Bocheński was filled with prayer and intellectual activity, which mostly revolved around the problem of faith. According to the author of *Logic of Religion*, the acceptance of faith demands a transitional phase of assuming the so-called religious hypothesis, which helps to deem sentences with faith content to be true. In such understanding of religious hypothesis it is a notion equivalent to scientific hypothesis. At the very end of his life Father Bocheński assumed a new divide into two contrasting notions which are basic faith and system. The basic faith comprises a few sentences similar to the ones expressed in the prayer *Our Father* and constitutes a parallel term to Dilthey's notion of world view. A system is a complex set of theses present in every major religion. Therefore, a converting person acknowledges at first the basic faith, which answers the most important questions regarding the existence of God and His providence, and then all the remaining truths of faith that compose the system of the religion he believes in.

Keywords: Fr. Joseph M. Bocheński, Fribourg, faith, religion, to believe, logic, existence of God.